

Saga gorzeńska

W ubiegłym roku minęła 110 rocznica urodzin poety, powieściopisarza, dramaturga - Emila Zegadłowicza. Odwiedzmy więc dom, w którym się wychował i gromadził zbiory sztuki, a w którym dzisiaj mieści się największe w Polsce muzeum sztuki okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Historia dworu w Gorzeniu Górnym sięga XV wieku. Pierwsi jego właściciele legitymowali się herbem Topór. Na starych, austriackich mapach obrys domu miał kształt nieregularnego prostokąta. Stąd hipoteza o narożnej baszcie i obronnej roli dworzyszczą, która potwierdziła się kilkanaście lat temu podczas remontu. Wykonując betonowe zastrzyki dla wzmocnienia murów, robotnicy odkryli wewnątrz domu głęboką studnię z wodą. Oznaczało to, że dwór, jako obronny musiał - na wypadek oblężenia - mieć wodę wewnątrz.

Okolica jest piękna. Niegdyś było to zupełne odludzie na trakcie wiodącym z Wadowic do Suchej Beskidzkiej. Początkowo parterowy budynek, wielokrotnie przebudowywany, z czasem zyskał obecny wygląd. Dobudowane piętro i rozległy balkon przydały mu dostojęstwa.

Dwór często zmieniał właścicieli i przeznaczenie. Przez pewien czas mieścił się tu przydrożny zajazd. Podobno najciekawszym mieszkańcem budynku był szlachcic Skorupka Padlewski, utracusz i hulaka, który cały swój dobytek przegrał w karty. Za karę pochłonęło go piekło w rogu parku pod hortensją. Jego długie, podkrecone wąsiska oraz przekrwione, zmęczone nocnymi birbantkami i nadmiarem alkoholu oczy dziś jeszcze straszą niektórych.

Historia ta, a także inne opowieści o gorzeńskich duchach nadawały domowi atmosferę tajemniczości i powodowały, że niektórzy, nawet za dnia, bali się tu wejść sami.

Profesor wędrowiec

Tytus Zegadłowicz, ojciec Emila, a mój pradziadek, do Wadowic przywędrował ze wschodu. Stary, wyblakły i zniszczony obrazek ukazywał jego niewielki, rodzinny dwór położony gdzieś pod Stanisławowem. Jako duchowny obrządku grekokatolickiego mógł się ożenić, ale tylko raz. Ponieważ żona opuściła go w nie ustalonych okolicznościach, skazany był na samotność. Zanim pojawił się w Krakowie, przebywał na Węgrzech. W jego krakowskich papierach profesora gimnazjalnego jest adnotacja „politisch verdachtigt”. Dlatego lepiej było zejść władzom z oczu i szukać sobie spokojniejszego miejsca. Wybrał Wadowice, gdzie oprócz botaniki prowadził także chór - pięknie grał na skrzypcach. W niedzielne popołudnie, jeżdżąc bryczką po okolicy trafił do gorzeńskiego dworu. Zauroczył go szczególnie wspaniały, stary park z wieloma okazami niezwykłych drzew, jak dąb błotny amerykański, bliźniacze tuje, czerwonioliste brzozy i buki. Postanowił kupić



Dworek Zegadłowicza w Gorzeniu

resztówkę dworską, aby znaleźć tu schronienie na emeryturze. Ponieważ profesorska pensja nie na wszystko starczyła, Tytus zadowolili się parkiem, sadem, lasem z górą Grodzisko i kilkunastoma hektarami pola. Resztę gruntu nabył najbogatszy we wsi gospodarz.

W wadowickim liceum Tytus poznał nauczycielkę fortepianu, znacznie młodszą od siebie Elżbietę, której rodzice przywędrowali tu z Czeskich

Budziejowic. Wbrew rozsądkowi i opinii małomiasteczkowego środowiska, nić sympatii między nimi przerodziła się w głębokie uczucie. Jednak związku nie dało się zalegalizować. Z dokumentów wynika, że Tytus z Elżą pojechali do Siedmiogrodu, ponieważ jedynie tam mogli zawrzeć małżeństwo. W drodze powrotnej, w Bielsku, przyszedł na świat owoc tej spóźnionej, dojrzałej, nieco melancholijnej miłości - Emil Zegadłowicz.

Elżbieta, mimo prośb Tytusa, nie zdecydowała się zamieszkać z nim, ugięła się pod ciężarem opinii. Pozostała w Wadowicach z rodzicami, nękana wymówkami, wyrzutami sumienia i pogłębiającą się niebezpiecznie chorobą serca. Tytus wziął Emila do siebie, wynajął mamkę, a Elżbieta, opisana w „Zmorach” jako „pani o krótkich srebrnych włosach”, przyjeżdżała do nich bryczką w niedzielne popołudnia.

Gorzeńska magia

W gorzeńskim dworze, u boku starego ojca (Tytus miał 68 lat, kiedy dziecko przyszło na świat), mały Emil stawiał pierwsze kroki i odkrywał pierwsze tajemnice życia. Zakochiwał się w parku, w przyrodzie, w Beskidzie. Miała to być miłość na całe życie. Ojciec wprowadzał go w tajniki łaciny i niemieckiego, uważając za zbędne posyłanie go do gimnazjum. System wartości zaszczipianych małemu Emilowi przez ojca humanistę miał przetrwać w nim na zawsze, a wspomnienia te i okres pierwszych 10 lat spędzonych u boku ojca, mitologizowane we wspomnieniach, opisane zostały w powieści pod symbolicznym tytułem „Uśmiech”.

„Zmory”

Ojciec zmarł, kiedy Emil miał 10 lat. Skończył się okres beztróski. Zdecydowano, że dziecko pójdzie do wadowickiego gimnazjum i zamieszka u rodziców matki. To zderzenie wpajanego przez ojca idealizmu z życiem szkolnym, niemożność przystosowania się do środowiska drobnomieszczańskiego kołtuństwa, jakiego wcześniej nie znał, było koszmarem ponad wszelką miarę. Pogłębiało nieśmiałość, urazy, poczucie inności i wyobcowania wstrząsająco ukazane w „Zmorach”. Do kłopotów szkolnych dochodziły rodzinne; zupełny brak kontaktu z dziadkami. Matka, wiecznie niedomagająca, nie mogąca poświęcić mu należytej uwagi, zmarła na serce, kiedy miał 16 lat. Wówczas opiekę nad Emilem przejęła jej bratowa, ciotka Wanda Kajszar.

Zainteresowania chłopca były już skryształizowane. Pisać zaczął w liceum. Potem poszedł na Uniwersytet Jagielloński na polonistykę. Studiował też historię sztuki w Wiedniu i Dreźnie, co miało duży wpływ na jego późniejsze pasje kolekcjonerskie i przyjaźnie z malarzami.

Piękna Maria

Maria Kurowska urodziła się w Wadowicach, w starej rodzinie o tradycjach inteligencko-ziemiańskich, w należącej do rodziców domu przy ul. Kościelnej, w którym po latach przyszedł na świat Karol Wojtyła. Jej dziad po kądzieli, Antoni Zapałowicz, był pierwszym dyrektorem wadowickiego szpitala, a wuj Hugo Zapałowicz - znanym podróżnikiem i przyrodnikiem. Maria Kurowska robiła to, co przysłało pannie z dobrego domu: grała na fortepianie, malowała, wyszywała, chodziła w Krakowie na kursy Baranieckiego i swym pięknym, kaligraficznym pismem (nie do wiary, że można tak pisać), sporządzała notatki z wykładów Stanisława Noakowskiego. Po śmierci ojca matka sprzedała dom, przeprowadziła się do Krakowa. Stąd właśnie przed wojną Maria ze swymi cioteczными siostrami przyjechała na wakacje do gorzeńskiego dworu, którego część, gwoli podreperowania budżetu, ciotka Wanda wynajmowała letnikom. I tu poznała Emila. 15 lipca 1915 r. odbył się ich ślub, po którym kolejną warszawsko-wiedeńską wyjechali z Wadowic do Wiednia.

„Czartak”

Tytus Zegadłowicz był wielkim zwolennikiem Jana Jakuba Rousseau i jego poglądów filozoficznych. Dał temu wyraz nawet w wyborze imienia, zaczerpniętego z książki tego wybitnego myśliciela francuskiego Oświecenia: „Emil, czyli o wychowaniu”. Zgodnie z tymi poglądami żył blisko natury, uważając za zgubny wpływ cywilizacji na człowieka. Wstawał o 4 rano i oddawał się swym botanicznym pasjom, pielęgnując park, zakładając sad, szczepiąc drzewa i krzewy. To od niego przejął Emil wielką miłość do przyrody i prostoty, co znalazło potem wyraz w założeniu w latach dwudziestych grupy literackiej „Czartak”. Jej najwybitniejsi przedstawiciele to Janina Brzostowska, Zofia Kossak-Szczucka, Jan Wiktor, okazjonalnie drukowali w „Czartaku” Witkacy i Leśmian. Czartakowcy kładli duży nacisk na konieczność harmonijnego życia człowieka z przyrodą, na jej piękno i ochronę. Można by zatem nazwać ich pierwszymi polskimi ekologami. Głoszone przez nich wówczas hasła, pozostające w opozycji do innych awangardowych grup literackich tamtego okresu zyskują dziś na aktualności wobec ogromnego zagrożenia jakie zawisło nad środowiskiem naturalnym człowieka.

„Powsinogi beskidzkie”

Przez całe życie jednoznaczne były także poglądy pisarza na stosunki międzyludzkie. Ewolowały one od franciszkańskiej prostoty, aż po lewicowy radykalizm społeczny. Znajdowało to odbicie w jego poetyckiej twórczości. „Powsinogi beskidzkie”, poświęcone kamieniotłukom, druciarzom, sadownikom, były wielką apo-

teozą i hołdem Zegadłowicza - pisarza i człowieka, dla tych, którzy w hierarchii społecznej stali najwyżej. Drugich oceniał wedle zdolności, wrażliwości, dokonaf. Zafascynowany niezwykłą osobowością Jędrzeja Wowry, doceniając jego talent i wyobraźnię przyjaźnił się z nim, zabiegając o uznanie i wystawy dla tego niecodziennego twórcy, jednego z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy ludowych. Tym, którzy dziwili się jego przyjaźni z niepiśmiennym beskidzkim chłopem odpowiadał, że Wowro jest duchowym arystokratą.

Pasje kolekcjonerskie i saksy

Mimo wielu propozycji pracy, Zegadłowicz wyjeżdżał z Gorzenia niechętnie, tylko - jak mawiał - na saksy. Utrzymanie starego, dawno nie remontowanego dworu przekraczało jego możliwości finansowe. Choć był niezwykle pracowity, systematyczny i prowadził zorganizowany tryb życia, pieniądze wciąż brakowało. Podczas pobytu w Gorzeniu pisał od 9 do podwieczorku, z przerwą na obiad. Dopiero wieczory przeznaczone były na rozmowy z gośćmi, zabawy, czytanie nowych utworów, spory ciągnące się do późnej nocy. A gości w domu zawsze było sporo. Skoro już przyjechali na wieś, zazwyczaj czas jakiś zostawali. Była to bogata galeria pisarzy, malarzy, artystów, z którymi przyjaźnił się pisarz.

Od czasu do czasu, gwoli podreperowania budżetu, wyjeżdżał na zarobek. Po I wojnie przyjął od Zenona Miriama Przesmyckiego propozycję pracy w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie, gdzie wytrwał blisko 2 lata. Stęskniony, powrócił do Gorzenia. Pod koniec lat dwudziestych znów wyjechał, tym razem do Poznania, gdzie organizował program radiowy, był naczelnym redaktorem „Tęczy”, redaktorem „Świata Kulisy” i kierownikiem literackim Teatru Polskiego. Zarabiał jak na ówczesne czasy znakomicie, bo kilka tysięcy złotych, podczas gdy np. pensja dyrektora szkoły (która starczała na utrzymanie rodziny) wynosiła 140 złotych. Wtedy właśnie mógł wyremontować dwór oraz kupić wiele antycznych mebli, stanowiących dziś wyposażenie muzeum.

Okupacja

Zegadłowicz był bardzo słabego zdrowia. Zawsze jeździł się leczyć do zaprzyjaźnionych medyków w Krakowie i nieraz wyjazdy te przeciągały się do kilku miesięcy. Z chwilą wkroczenia Niemców, granica na Skawie, pomiędzy Rzerzą a Generalnym Gubernatorstwem, przerwała te wyjazdy.

W Gorzeniu pojawili się Niemcy. Jak się później okazało, doskonale zorientowani, z kim mają do czynienia. Poeta tłumaczył, że z wykształcenia jest historykiem sztuki, że przełożył na polski „Fausta” Goethego. Dokładnie oglądali wypełniony obrazami dwór, przestrzegając, aby niczego nie wynosić i nie przewieźć. Ponieważ kłopoty zdrowotne pogłębiały się, pisarz wyjechał na leczenie do Sosnowca. Mimo intensywnej terapii, naświetlań, przyjmowania wielkiej ilości leków, pisał do ostatnich dni. Niestety wszystkie te rękopisy, które po wojnie trafiły do MKiSz, zaginęły w nie wyjaśnionych okolicznościach. Ostatnia wola pisarza, aby być pochowanym w rodzinnym Gorzeniu, dotychczas nie została spełniona.

Niemcy i Rosjanie

Wkrótce po śmierci pisarza do Gorzenia zajęły niemieckie ciężarówki. Wywieziono wspaniałą gorzeńską bibliotekę i część zbiorów sztuki, m.in. unikatową kolekcję rzeźby ludowej Jędrzeja Wowry, znanego i cenionego już przed wojną nie tylko w Polsce.

Po śmierci męża Maria Zegadłowiczowa pozostała w domu z córkami Halszką i Atesą, a także z przesiedleńcami z sąsiednich wsi, którzy zajmowali parter. Niezwykle zorganizowana i konsekwentna, nigdy, nawet podczas nalotów nie opuściła domu, twierdząc, że tu jest jej miejsce. Kiedy celowane w dom pociski ścinały wierzchołki parkowego drzewostanu, gotowała buraki, odmawiając zejścia do piwnicy. - Jeśli trafią - mówiła - wolę zginąć przy kuchni. - A jeśli nie trafią, coś przecież trzeba będzie jeść.

W ogołoconym przez Niemców dworze wojska radzieckie dokonały dalszych spustoszeń; Rosjanie urządzili sobie tu kwaterę. Pijąc wódkę chochlami z wiader, nigdy nie byli trzeźwi. Rozkładali blachę na podłodze w świątkarni i palili na niej ognisko. Z dymem szły meble, rzeźby, listy Leśmiana, Tuwima, Broniewskiego. Opróżnili wszystkie szuflady. W niektórych pokojach rękopisy i rupiecie sięgały do pasa. Potłukli lustra, rzeźbom kolbami poubijali nosy.

Mroki stalinizmu

Miejscowe władze niejednokrotnie czyniły zakusy na dwór, posługując się różnymi metodami. W czasach, kiedy węgiel był na kartki, za wynajęcie domu na zabawę ludową przydzielaly tonę węgla. W zimowe chłody w gorzeńskim dworze, w tzw. pokoju ojca, w którym zmarł mój pradziadek Tytus i w którym ja przyszłam na świat, na parapacie wisiały sople lodu. - Nie możesz jeździć na rowerze koło okien, bo się przeziębisz - upominała mnie mama. Dumą ojca była zamontowana przez niego tzw. „koza”, czyli piec na trociny. Stał na środku pokoju, rozgrzany do czerwoności, niemilosiernie długą rurą połączony z dawnym kominkiem. Jednak efekt był taki, jakby ktoś palił ognisko na mrozie.

Cały obiekt zaklasyfikowano jako gospodarstwo rolne. Kiedy sołtys przychodził na spis rolny, oznajmiał: - To co Zegadłowiczko, piszę hektar ziemniaków, hektar kukurydzy. - Ależ panie sołtysie, pan wie, że to park dworski. - Nic się nie da zrobić. Ja ni moge mieć w gminie ani ara nieużytków - odpowiadał nieugięty urzędnik.

Babcia płaciła więc podatek od przychodowości gospodarstwa, a że i dostawy żywca były wówczas obowiązkowe, trzeba też było kupić prosię i jechać z nim do sąsiedniego dworu Krobickich na Mikołaju, (zdevastowanego i zamienionego w składnicę nawozów sztucznych, gdzie rzecz odbywała się w scenerii pomalowanych czerwona olejną farbą kolumn dawniej sali balowej).

Pewnego dnia zjechał do Gorzenia premier Józef Cyrankiewicz. Okupację spędził w Oświęcimiu z jednym z przyjaciół Zegadłowicza, znakomitym malarzem Marianem Ruzamskim, który nie przeżył wyzwolenia obozu. Zobaczywszy tę powojenną dworską gorzeńską nędzę wystarał się wówczas dla Marii Zegadłowicz o rentę z MKiS, która choć niewielka, była jednak nieocenioną pomocą.

Muzeum z konieczności

Wkrótce po wyzwoleniu do Gorzenia trafiać zaczęli ciekawscy. Wiedząc o śmierci pisarza, przychodzili, aby dowiedzieć się czegoś bliższego, zobaczyć, czy dom i zbiory przetrwały. Niepodobna było chować się przed nimi lub nie udzielić informacji. We dworze mieszkały początkowo jedynie Maria Zegadłowicz i jej również owdowiała siostra Ada Ziętkiewicz. W latach pięćdziesiątych na parterze budynku zamieszkał także moi rodzice.

Muzeum zaczęło się skromnie. Najpierw udostępniono kilka pomieszczeń na piętrze: świątkarnię z rzeźbami Jędrzeja Wowry i sztuką ludową, pokój niebieski, wypełniony obrazami Wlastimila Hofmana, Stanisława Noakowskiego i Władysława Skoczylasa, gabinet pisarza, czyli pokój żółty, z dziełami wielu artystów, m.in. Pronaszki, Schulza, Hulewicza, Weissa, Mehoffera i wielu innych. Wreszcie jadalnię w całości poświęconą przyjacielowi i współpracownikowi Zegadłowicza, autorowi znakomitych portretów rodzinnych, Ludwikowi Misky'emu. I tak przez wiele lat, na zasadzie kuriozum, istniało to muzeum - nie muzeum, z pomieszczeniami wyglądającymi, jakby ktoś je na chwilę opuścił, wychodząc na spacer do parku. Wszystko bowiem odtworzono z największą pieczołowitością.

Kiedy w roku 1966 zmarła moja mama, Halszka Zegadłowicz, dom opustoszał. Przenieśliśmy się z babcią do niedużego domku nie opodal, w którym mieszkała jej młodsza córka Atessa z rodziną. Wtedy to wnuk pisarza Adam (syn Atessy) powiększył muzeum o zajmowane dotychczas przez rodzinę pomieszczenia. Przybyły pokoje: balkonowy, należący zawsze do żony poety z kolekcją znakomitych rysunków Stefana Żechowskiego - głównie ilustracji do „Motorów”; Halszki - poświęcony Leonowi Wyczółkowskiemu; Aty, z największą w Polsce kolekcją Jerzego Hulewicza i wreszcie herbaciarnia wypełniona dziełami Dalekiego Wschodu, co było efektem przyjaźni pisarza ze znakomitym kolekcjonerem Feliksem Mangghą Jasieńskim.

Stało się swoistym paradoksem, że w tym, największym muzeum biograficznym w Polsce, będącym retrospektywną wystawą sztuki międzywojnia, Zegadłowicz prezentowany był nie jako pisarz, lecz jako kolekcjoner. Może to jednak i lepiej dla muzeum, ponieważ kolekcja była wartością samą w sobie, niezależnie od tego, jak oceniać dorobek pisarski tego kontrowersyjnego twórcy.

Po zmianach administracyjnych w kraju gorzeński dwór przeszedł pod Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej. Niezbędny był remont zniszczonego, zawilgoconego, grożącego zawaleniem budynku. Nie konserwowane od lat zbiory niszczały w zatrażającym tempie. Władze obiecały pomoc, ale po wykupieniu dworskich zabudowań po symbolicznych wręcz, państwowych cenach.

Remont rozpoczął się na początku lat osiemdziesiątych. Zbiory wywieziono do wielu pracowni konserwatorskich kraju, skąd wędrowały do piwnic bielskiego muzeum. Rodzina, chcąc przekazać je jako wyposażenie gorzeńskiego muzeum stawiała warunki, obawiając się o ich dalszy los, a także o samo muzeum. Dramatyczne czasami rozmowy, kiedy to wydawało się, że muzeum na zawsze zniknie z mapy kulturalnej kraju skończyły się wreszcie sukcesem. W lipcu 1995 r. muzeum znowu ożyło, a ogromna liczba zwiedzających świadczy, jak potrzebna była ta placówka.